

Maciej Pisarek

## Trójkącik

Po seansie był już nowy rok. Zimna, jasna od śniegu sylwestrowa noc, niebo czarne. Dziewczyna wyszła z kina. Jak ja. Zmierzała w tym samym kierunku, nie zwalniała kroku. Ale nie to, że musiałem podbiegać. I tak, idąc i zagadując o przedpremierowym „Milczeniu owiec”, poznałem Martę. Drogę znaczyły nam czerwone światła seks biznesów. Mnożyło się to wtedy bez opamiętania. Różne pip erotik szoty i hotele na godziny zapalały się w czynszówkach sprzed wieku.

Martę odwiedziłem następnego dnia, ale do łóżka poszliśmy dopiero za drugim razem, kiedy nie było Kamy. Bo Marta mieszkała z Kamą.

Mieszkały w kawalerce, gdzie mieściła się tylko wielka, stara szafa z lustrem, rozkładany fotel i materac na parkiecie. Wkrótce nam to nie przeszkadzało i sypialiśmy w tym jednym pokoiku razem, ja z Martą, a Kama czasem z T. Grał chyba na basie, a one w tej samej kapeli śpiewały w chórkach. Wokalista i tak zwany lider kapeli przeleciał kiedyś Martę, a potem wyfrunął robić karierę w Ameryce. Wrócił szybko z jakąś futerkową dupencją dla ozdoby, pozowali na świrniętych dekadentów, a on próbował reaktywować zespół. Marta jeszcze trochę przeżywała, ale przechodziło jej szybko. Noce zaczęły się robić krótsze, przybywało światła.

Dziewczyny zarabiały w chórze filharmonii, jeździły z orkiestrą po Europie, ale dumne były z kapeli. Też nosiły się na czarno, jak lider, a usta malowały na czerwono. Obie śliczne, każda inaczej. Marta niższa, drobniejsza, ostrzejsza. Mrużyła długie rzęsy, a przyczajony, kpiący uśmiezek delikatnie napinał wtedy kącik ust. Kama wysoka, miękka, o dużych, zdziwionych oczach i pełnych, wilgotnych ustach. Ruda. Włosy spływały z niej karbowanymi strunami.

Mimo wszystko ta ich kapela była od święta. Na co dzień była matura w szkole muzycznej. Marta na skrzypcach, Kama na altówce, rzeźbiły swoje dyplomowe kawałki. Od zera, od gołych fundamentów Schuberty i Bachy. Od skrzypienia drukowanych nut do muzyki. A ja słuchałem. Bo już z nimi mieszkałem.

Miałem blisko, więc najpierw wpadałem, wpadałem, wychodziłem coraz rzadziej, a potem przestałem wychodzić. Bo dobrze nam było. Szeleściliśmy zwracając się do siebie zdrobnieniami naszych imion. Paliliśmy marychę i hasz, który przywoził z Berlina narzeczony flecistki, ich przyjaciółki z klasy. Opychałem mu to po znajomych, a dziesiątą sztukę miałem dla siebie. Jaraliśmy od rana do wieczora, a dziewczyny śpiewały mi „Requiem” albo „Carminę Buranę”. Nikt nie miał głowy do gotowania, więc robiliśmy ogromne jajecznice, do których wrzucaliśmy wszystko jak do kotła. Czasem z góry wpadała do nas prostytutująca się sąsiadka. Zwykle, żeby poskarżyć się na swojego Araba. Popłakała trochę, posiedziała, wracała na górę i napierdalali się znowu. A my już pruliśmy przez niezmierzone głębiny Morza Abraxas i – kochaliśmy się.

Kochaliśmy się, to znaczy ja z Martą, na różne sposoby. I szukaliśmy nowych. Z zapalem studiowaliśmy zakamarki naszych ciał, szczególnie te ukryte, niewidoczne, ciemne i wilgotne. Żeby rozwiać ostatnie tajemnice, goliliśmy się nawzajem. Dużo też mówiliśmy o tym co robimy i jak, i co jeszcze chcielibyśmy zrobić. Wiadome części ciała nazywaliśmy zdrobnieniami naszych imion - dokładnie tak, jak w dzień mówiliśmy do siebie również z Kamą. Kamusią.

Czasem nie mogliśmy wytrzymać i kochaliśmy przy niej. Ale jednak przy zgaszonym świetle. Cicho. Że niby nic. Jak można się kochać cicho śpiąc na podłodze w odległości metra od siebie? Wszyscy, nas troje, wiedzieli co się dzieje. I bywało, że cicho się nie dało. Wtedy któreś z nas pękało i w ciemności buchał śmiech. Z miejsca rechotaliśmy aż do łez, wijąc się po podłodze.

Kochaliśmy się, ja z Martą. Kama, wtedy, a już była wiosna, zaczynało lato, zupełnie przestała się dogadywać ze swoim basistą, który, całkiem nierokendrolowo, martwił się o przyszłość i chciał zostać magistrem. Kres zresztą wypełzał zewsząd. Wypełzał wręcz nawet, trzeba przyznać, od samego początku. Ignorowaliśmy go, ale to była tylko gra na czas. Liderowi nie udało się reaktywacja kapeli, a ja rozstałem się z Martą jeszcze na przełomie lata i jesieni. Przeżywała ona, przeżywałem ja. Zczytaliśmy już z siebie tajemnice. Ja byłem znudzony, miałem wyjechać, Kama związała się z moim kumplem. Rozmywało się wszystko, rozchodziło, chłodziło. Znikało. Ale to później. Później, później, później. Bo wcześniej był jeszcze ten upał. Zenit wczesnego jeszcze, choć już spopielenego lata. Jeszcze trwała ta siła inercji niesiona, zaspana, zatrzymana w rozrzedzonym powietrzu chwila, w której

kochaliśmy się wszyscy. Wszyscy, we troje. Bo przecież jakoś tam ja kochałem też Kamę, Kama mnie, a przede wszystkim kochały się one, Marta i Kama. Kochały, przyjaźniły, nie ma co spierać się o słowa. Razem od lat, od zawsze, na dobre i złe, razem w chórze, chórkach i na piętnastu metrach.

Wtedy już znaliśmy się bardzo dobrze. Dziewczyny miały maturę za sobą, było więc luźniej. Owszem, wchodziły jakieś nowe rzeczy na głowę, nie było czasu ani kasy na wakacje, tylko że jakoś nikt się tym wszystkim nie przejmował. Trochę może, ale nie aż tak. Szczerze mówiąc, mieliśmy to w dupie. Tymczasem zrobiło się gorąco, potwornie gorąco. Dziewczyny, wachlując spocone dekolty, sprawdzały ogłoszenia o pracę. Bezbarwny upał wlewał się do miasta i miasto wysychało, wyparowywało. Ulice wyblakły, opustoszały, asfalt kleił się do butów, trawa żółkła i umierała. Ludzie szukali cienia albo, wręcz przeciwnie, miejsc do opalania. Parki i skwery upstrzyły się wysepkami ludzkiego mięsa spływającego tłuszczem. W gaciach płamionych na żółto i w zszarzałych koronkach. A na otwartym basenie urządzono solarium dla nudystów. Dziewczyny zaczęły tam chodzić. Może, nomen omen, z nudów, może, żeby trochę oszukać wakacje, a może, żeby w takich okolicznościach przeglądać ogłoszenia.

Szukali pań chętnych do pracy w salonie masażu. Poszły na rozmowę. To, że nie miały pojęcia o masażu i nikt nie planował szkolenia, okazało się zupełnie nieważne. Wręcz korzystne. Miały przed sobą wielkie perspektywy, przyszłość w różowych barwach, pewne pieniądze... Zapewniali, gwarantowali, nie chcieli ich puścić. Musiały uciekać. Chichraliśmy z tego wieczorem chłodząc się piwem EB. I wtedy Marta wymyśliła, że mam iść z nimi na to ich solarium. Uparły się. Obie.

Nie paliłem się. Nigdy wcześniej nie rozbierałem się tak ot, dla wszystkich. Poszedłem jednak. Z ciekawości.

Niewielki fragment betonowego kompleksu wystawał piętro wyżej od reszty, a jego dach okalały cienkie ściany. Wznosząc się na jakieś dwa metry, dawały efekt otwartego na blade niebo pudełka. Prowadziły tam łamane ze trzy razy pod kątem proste schody, coś płaciło się na dole. Zapłaciłem.

Pierwsze co zobaczyłem, to jakiś spalony na ciemny brąz dziad – miał pod pięćdziesiątkę, szpakowate, krótko przystryżone włosy. Siedział na leżaku z

łokciami na kolanach, jaja mu zwisały, a on rozglądał się, niby od niechcienia, zgasty i skwaszony. Dawno zdążył się opalić, już lata temu. Teraz tytnął na mnie spode łba.

Za to Marta i Kama przywitały mnie radośnie. Kama – zauważyłem – trochę grała. Nie radość grała, ale luz w tej radości. On nie był tak oczywisty. Jednak ja nie byłem przezroczysty, nieobecny jak inni tutaj. Ze mną nie było lepiej - nagość Kamy, zastaną, miałem zaraz zrównoważyć swoją nagością. Marta zaś była wniebowzięta. Wiedziała, że się nie paliłem, nie garnałem do golasów i myślała, że przyszedłem dla niej. Zsunąłem majty, położyłem się na leżaku i zamknąłem oczy. Chciałem się jak najszybciej wtopić, roztopić. Musiałem ochłonać.

Oblało mnie gorąco. Z dołu dochodziły basenowe wrzaski stłumione w przyjemny szmer. Powietrze zamknięte w czterech ścianach stało nieruchomo, a słońce zaczęło przewiercać się czerwonymi plamkami przez moje powieki.

No dobrze, to gdzie ja właściwie jestem. Jak wygląda to miejsce ciekawe.

Cztery ściany nie rzucające cienia, leżaki, i smutna wygięta rurka udająca prysznic. I już. Oaza. Ostatnia poczekalnia. A w niej, poza nami, tylko chowająca się za gazetami starość. Skóry. Szorstkie, marszczone, poplamione. Fałdy zamalowywane wielokrotną opalenizną. Nawilżane, smarowane, operowane. Nianawistne.

My leżeliśmy na środku. Tak pewnie wyszło po prostu, ale było to bezczelne. I – dotarło to do mnie po chwili - podobało nam się tak. Nie otwierając oczu, zacząłem się uśmiechać. Do siebie, do dziewczyn. O czymś rozmawialiśmy, leniwie, nie patrząc na siebie. Śmiałyśmy się z czegoś, z cicha, na raty, pobudzając się wzajemnie. Marta była w środku, Kama po jej drugiej stronie.

Leżeliśmy. Szmer zza ścian oddalał się, cichł.

Ciało Marty znałem. Kamy niby nie, ale przecież prawie tak, po tych wszystkich nocach. Domyślałem się go. A teraz już nie musiałem się domyślać. Jej pełne piersi swobodnie formowały się w alabastrowe, łagodne wzniesienia, z dużymi, płaskimi kołami różowych sutek na szczytach. Miałem je pod powiekami, zlewały się z czerwonymi plamami słońca. Pomyślałem, jak kretyń, że przypominają lądowiska dla helikopterów. Otworzyłem oczy. Niebo wisiało nade mną i obniżało się. Musiałem wstać.

- Za gorąco. Długo nie dam rady.

- Jezu, my też. Smażymy się od rana... - Kama otworzyła oczy, podniosła głowę i patrzyła na swoje oprószone czerwienią ciało. Jestem zjarana – jęczała - nie będę mogła spać... Wyparuję, za chwilę mnie nie będzie...
- A o trzeciej ma być jeszcze gorzej. A potem jeszcze gorzej.
- Jeszcze trochę – Marta leżała z uśmiechem i ciągle zamkniętymi oczami. Dzielna i nieustępliwa.
- Skrawka cienia tu nie ma, jebanego parasola chociaż...
- Jeszcze trochę... - powtórzyła Marta tym samym tonem, melodią nawet.
- No dobra, nie wytrzymam. Idę pod tę rurkę.
- Ja też – Kama dodała jeszcze zdrobienie mojego imienia i ruszyła za mną. Okryła się ręcznikiem. Nie wiem po co. Musieliśmy włożyć coś na nogi, dach był rozpalony.

Staliśmy pod najmarniejszym dowcipem jaki można było zrobić na temat prysznic. Zwykła, żelazna rurka pięła się krzywo w górę. Na wysokości rąk wcinał się w nią kranik, wyżej zakręcała poziomo na kolanku i wyginała się w dół jak nos mrówkojada. Patrzyła na nas z góry banalną, czarną dziurką. Groźną jednak i nieprzewidywalną. Co i jak z tego wyleci?

Odkręcałem kranik bardzo powoli. W końcu coś zaczęło syczeć, burczeć – odsunęliśmy się, ja jednak z ręką uczeponą do kranika. Z rurki zaczęło kapać. Odkręciłem trochę bardziej, i jeszcze ciutkę – nagle zacharczało, strużka wody zakręciła się o wylotu jak głupia i spadła nas rozsypana w spiralę. Wrzasnęliśmy. Była zimna. Albo my tak rozgrzani. Przykręciłem trochę, na chwilę tylko. Stopniowo zyskiwałem kontrolę i puszczałem coraz żywszy strumień, a my ostrożnie oswajaliśmy się z wodą. Spadała uparcie kręcąc się w locie i była coraz zimniejsza.

Nie wiem co i kiedy Kama zrobiła z ręcznikiem. Może to dlatego, że tak długo gapiłem się w wylot tej cholernej rury. Ale teraz już staliśmy pod naszym, pozał się boże, prysznicem i wchodziliśmy pod strumień na zmianę. Raz ona, raz ja. Oglądaliśmy się ukradkiem. Coś przy tym do siebie szeptaaliśmy. Właśnie o tym jak tu jest. I o nas. I o nich, tych wokoło. Dla siebie byliśmy bardzo łaskawi, dla tamtych ani trochę.

Kama wchodząc pod strumień zamykała oczy i podnosiła głowę. Woda sływała po jej twarzy, ramionach, piersiach, brzuchu, pośladkach, udach. Potem pod strumień wchodziłem ja, a ona czekała. Przez półzamknięte oczy widziałem

wtedy kropelki osiadłe na jej rudym, gęstym futerku. Jej stwardniałe, sterczące teraz sutki. Rosłem od tego widoku, więc uciekałem spojrzeniem w górę i odkręcałem kran na całego. Widzieliśmy to wszystko i bardzo nas to cieszyło. I mówiliśmy o tym, choć nie wprost. Było to łatwe. Wystarczała uwaga o pierwszym z brzegu staruchu, o klapkach, startych, wypłowiałych ręcznikach i niemodnych okularach.

I dopiero kiedy już kładliśmy się z powrotem pod słońcem, coś sobie przypomniałem. Coś, co mnie przeraziło. Przeraziło, lecz nie zmroziło. Wręcz przeciwnie. Teraz już krew we mnie wrzała, płynąc od głowy wypalała mi żyły...

Dziewczyny dość często wracały do swoich domów. Na obiady, weekendy i święta. Kiedy nie było Kamy, zrzucaliśmy prędko z Martą ubrania i nie wkładaliśmy ich godzinami (a było jeszcze to wielkie lustro w szafie). Ale kiedy z kawalerki znikwała na dłużej Marta, ja wracałem do siebie. Nie zawsze jednak. Zdarzało mi się zostawać na noc tylko z Kamą, Kamusią. I dzisiaj – to właśnie sobie przypomniałem – miała być taka właśnie noc. Marta miała jakieś coś-gdzieś, miało jej nie być, a my mieliśmy zostać sami.

Musiałem usiąść, ręce złożyć na kolanach. Coś narzuciłem na głowę.

- Ja pierdołę, jaki gorąc – jęknąłem pokornie, zupełnie bezbronny, jakbym już błagał sąd o nadzwyczajne złagodzenie kary. – Patelnia...

Marta wygrzewała się uparcie, uśmiechnięta, jakby śniło jej się coś bardzo przyjemnego. Spojrzałem ukradkiem na Kamę. Wytrzeszczała na mnie oczy, była w panice. A więc i do niej to już dotarło. Ha, a niby cóż prostszego - mogłem coś wymyślić, przekimać gdzie indziej. I ona też mogła. Żadne z nas nie mogło. Już nie. Ta noc już wtedy, a nawet wcześniej, pod tym kosmicznym prysznicem z czarną dziurą rurki, zassała nas bezpowrotnie. Kama zaczęła ciągnąć nosem. Dopadł ją katar, przeziębienie, bolała skóra. Ja też byłem poparzony, ale wiedziałem, że i to, niestety, nic nie da. To żadna przeszkoda nie jest, nie będzie. Że za parę godzin stanie się to, co musi się stać.

W mieszkaniu nadal był upał. Słuchaliśmy muzyki, były jointy i piwo, ale słowa już przeszkadzały. Krępowwały w jakiś dziwny sposób, bo były nie na temat. A temat pulsował. Zdejmowaliśmy z siebie co tam na sobie mieliśmy, powoli, stopniowo, sztuka po sztuce. Nagość niewinna, taka sprzed kilku godzin, nie była już możliwa. A

świadomość, że jeszcze przed chwilą widzieliśmy się wolni od niewygodnych i absurdalnych materii również nas krępowała - i kręciła jeszcze bardziej.

Leżałem na materacu w rogu. Kama umościła się w fotelu, z nogami, skulona. Nie patrząc na siebie, coraz bardziej strwożeni, czekaliśmy.

Zapadła noc. Otworzyliśmy okna i drzwi na balkon, zaciągnęliśmy zasłony. Chłód jednak nie przyszedł. Rozebrałem się już do majtek. Kama wierciła się w czymś zwiewnym, przykryta przezroczystą chustą. Ciepły wiatr wchodził oknem, chwycił tę chustę i odsłaniał jej pierś. Widziałem to, bo ciemność, ta noc, miała swój światłocień. Dla Kamusi musiałem być niespokojnym, żywym kształtem, który wił się w sobie, nabrzmiewał i zbliżał nieuchronnie. Wiele razy podpełzałem do jej fotela, całowałem cichutko proszącą, by nie, i jednocześnie oddającą pocałunki, szukającą mnie dłonią. Nie spieszyliśmy się, ale i nie czekaliśmy. Ssałem jej sutki, ostrożnie trzymając piersi w dłoniach, pieściłem rozpalone uda, spokojnie zdejmowałem ostatnie, co na sobie miała. Wchodziłem w nią i kochaliśmy się, starając się by trwało to jak najdłużej, płacząc z zakazanego szczęścia.

Tak też było, kiedy ona stanęła na wprost drzwi balkonowych i opuściła głowę na biodra, jakby licząc na chłodniejszy podmuch wiatru. Schyliła głowę i spojrzała z ukosa, na mnie. Stałem za nią. Westchnęła kiedy pocałowałem ją w szyję, i za chwilę znowu, kiedy przesunąłem rękę na jej brzuch.

I było tak kiedy najpierw ukląknęłem przy fotelu i zacząłem od całowania jej stóp, a potem...

To był koszmar. Tortura. Bo tak naprawdę nie wydarzyło się nic. Nie wstałem z materaca, Kamusia została w fotelu.

I tak nie spaliśmy całą noc. Coś mówiąc, rzadko i nie na temat, najczęściej o upale, i że się nie da spać, i że katar, i że jutro to coś tam. Najwięcej było jednak ciszy, i w tej ciszy - okropnej - dotykaliśmy siebie, smakowali, oddawaliśmy się sobie szczerze i braliśmy chciwie. Wszystko w ciszy, elektrycznym powietrzu między nami. Koszmar, męki piekelne. Łamanie kołem i stos.

A dlaczego nie wydarzyło się nic? Jak mówiłem, kochaliśmy się wtedy. We troje. Mnie przerażało nie to, że to, co zrobię będzie zdradą Marty. Miałem to już gdzieś, prysznic mnie załatwił. Ale przerażony byłem tym, że to Kama zdradzi Martę.

A Kama, jestem pewien, podobnie chciała ocalić mnie. Marta spała wtedy z nami, i tak przetrwaliśmy.

Rano się okazało, że lodówce są tylko jajka i cebula. Na śniadanie zrobiliśmy wielką jajecznicę.